

Wezwanie na komendę MO, rok 1971 — Przemir

Od autora: Jest to mój fragment dłuższej całości, który był już naniesiony na innym forum. Z tego powodu, że jest to wyjęte ze środka tekstu, główny bohater nie jest należycie przedstawiony i niektóre sprawy, jak manewrowanie silnikiem, nie są objaśnione. Wersja, którą załączam, jest ostatnią, poprawioną.

W czwartym tygodniu pracy na holowniku Stanisław, otrzymał wiadomość radiową z firmy, że ma się zgłosić natychmiast do Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Sopocie. Informację przekazał mu kapitan, gdy wyszedł z maszynowni po manewrach silnikiem i zajął do sterówki. Był tam też bosman i obaj byli ciekawi, co milicja chce od Zygmunta. On wzruszył jedynie ramionami i spokojnym głosem oświadczył:

- Nie wiem.

- Może chcą cię wciągnąć do współpracy? – spekulował bosman.

- Gdyby o to chodziło, zachowywali by się bardziej dyskretnie. Może chcą mnie wsadzić do paki – rzekł Zygmunt, zachowując kamienną twarz – zresztą mają tu już tego ormowca, może on im wystarczy.

Ormowiec zdekonspirował się z miejsca, bo zaraz, w pierwszym dniu pracy, pytał kto jest w firmie komendantem ORMÓ.

Zygmunt wiedział, że będą go pytali o Jurka, ale nie chciał rozpowszechniać takiej wiadomości wśród załóg taboru pływającego. Gdy tamten zniknął, on poszedł wieczorem pod „Złoty Ul” i od jednego typa z grupy „Słonia”, dowiedział się dokładnie jak było. Czytał też o Jurku artykuł w „Głosie Wybrzeża”, zatytułowany: „Z Radomia do Trójmiasta na gościnne występy”.

Zgłoszenie się „natychmiast”, w jego przypadku, oznaczało jutro, najwcześniej przed południem. Byli teraz na wodach zatoki a ich holownik pracował przy pogłębianiu toru wodnego. W tej chwili ciągnął szalandę z błotem, a wachta morska kończyła się o ósmej rano. Firma nie wysłała dla niego ani podmiany, ani motorówki. Rano, holownik przywiezie świeżą grupę a ich odstawi na nabrzeże w Nowym Porcie.

Takiego zaproszenia, Zygmunt, oczywiście, zignorować nie mógł i następnego dnia pojechał do Sopotu. Hol wejściowy komendy milicji był ponurym miejscem. Smutne wrażenie tworzyły szare ściany i małe, wysoko umieszczone okna, które nie przepuszczały wiele światła. Przed okratowanym wejściem na korytarz, prowadzącym do biur i do aresztu, był prostokątny otwór w ścianie, wycięty na wysokości piersi. Zygmunta, kojarzył się jedynie z wygodnym wejściem do psiej budy. Należało wsunąć tam głowę i wytłumaczyć milicjantowi dyżurnemu, po co się przyszło. Krata odgradzająca korytarz była ryglowana i zwalniana zamkiem elektromagnetycznym.

Spokojnie, bez objawów zdenerwowania, wsunął Zygmunt głowę w szarą od dymu tytoniowego przestrzeń okienka, spojrzał na milicjanta z papierosem pomiędzy wargami i odezwał się:

- Dzień dobry panu. – Odpowiedzi nie usłyszał.

Wyglądający niemłodo, starszy sierżant, patrzył na niego nieprzychylnie. Może być, że widział w Zyg-

muncie kryminalistę.

- Zostałem tu wezwany, nazywam się Zygmunt Tarkowski.

Milicjant zajrzał w papiery na swoim biurku i nie wyjmując papierosa z ust, zarządził:

- Wejdziecie na korytarz, tam za kratę, usiądziecie na krześle i czekacie aż was ktoś wezwie. – Słowa wymawiał jedną stroną ust, bo drugą trzymał papierosa, który kiwał się do góry i na dół w trakcie mówienia.

Elektromagnes zabrzączał, Zygmunt pchnął drzwi i wszedł do środka. Samozamykacz zatrzasnął kratę za nim. Teraz, mógł to miejsce opuścić tylko w asyście milicjanta albo pozostać tam jako zatrzymany.

Usiadł na jednym z krzeseł ustawionych w rząd pod ścianą i czekał. Był sam na korytarzu. Uświadomił sobie, że sierżant kazał mu usiąść, czyli, nie powinien chodzić i rozglądać się. Patrzył na ścianę naprzeciw, taką bez obrazków, w szarym kolorze na jaki malowano kadłuby i nadbudówki okrętów wojennych.

- Prawdopodobnie, marynarka i milicja używają tej samej, państwowej, farby. W PRL, przecież, wielkiego wyboru nie ma. – pomyślał.

Ostatnie drzwi w rzędzie naprzeciw, miały rygle i były wzmocnione stalową blachą.

Zejdźcie po schodach do aresztu w piwnicy, zgodł bez trudu.

Po dwudziestu minutach czekania, z pomieszczenia naprzeciw, wyszedł funkcjonariusz po cywilnemu i oznajmił:

- Tarkowski.

- Tak.

- Wejdźcie. – Powiedział i zniknął wewnątrz. Zygmunt podążył za nim, a gdy był już w pomieszczeniu, usłyszał:

- Zamknijcie drzwi za sobą.

Funkcjonariusz, niski i nieproporcjonalnie szeroki w biodrach, o twarzy bladej, brzydkiej, bardziej azjatyckiej niż polskiej, wskazał ręką odrapane krzesło.

- Siądźcie tam i dajcie dowód osobisty. – Zarządził.

Zygmunt pomyślał, że facet ma tę robotę ze względu na zły stan zdrowia. Zrobił jednak, co mu kazano. Jako wezwany, a może nawet podejrzany, siedział teraz i czekał obojętnie na rozwój sytuacji. W tym ponurym biurze, ściany były pomalowane na popielato, ale okna przepuszczały dużo światła. Biurko, krzesła i szafka, zużyte meble marnej jakości, pamiętały lata 1950 a może nawet wcześniejsze. Zasłony okienne, teraz rozsunięte, prosiły o wymianę.

Funkcjonariusz, referent w stopniu sierżanta, wpisał dane personalne Zygmunta w rubrykę formularza. Potem patrzył na plik papierów, które wziął do rąk i przekładał. Teraz skierował wzrok w stronę wezwanego i spokojnym głosem wycedził:

- Mamy tu podpisane zeznanie waszego kolegi, który wszystko nam wyśpiewał.
- Ustalmy najpierw, proszę, o którym koledze mówimy, bo mam kilku.
- Jerzy Bednarski opowiedział nam o tym jak okradaliście razem samochody – wyjaśnił funkcjonariusz.

Dla Zygmunta, to zdanie było tak nieprawdziwe, że aż śmieszne.

- Panie milicjancie, dowiedziałem się dopiero teraz, od pana, że on cokolwiek okradał, jak więc mogłem brać w tym udział?

- Jesteście przesłuchiwani jako współsprawca i lepiej dla was będzie, jeśli powiecie wszystko co wam w tej sprawie wiadomo.

- Dobrze. O okradaniu samochodów nie wiem nic. Jerzy Bednarski jest znajomym moich znajomych. Przyjechałem do Trójmiasta, aby tu pracować. On przyjechał ze mną, bo twierdził, że też chce tu pracować.

- Czy szukał roboty?

- Tak, szukał, był ze mną w PRCiP-ie, załatwiał badania lekarskie, zakwaterowanie, a potem gdzieś przepadł i nie widziałem go więcej.

- Gdy zniknął, czy wiecie, gdzie był i z kim się zadawał?

- Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział Zygmunt.

Milicjant nie był zadowolony z takiego wyniku rozmowy. Dla niego, sukcesem było, gdy w trakcie śledztwa, ktoś się przyznaje lub sypie na innych, a tu, brak szansy na jakąkolwiek współpracę. On się pilnuje i nic dobrowolnie nie powie, myślał. Do tego, ten współsprawca był w robocie, gdy tamtego złodzieja schwytano na gorącym uczynku. On, sierżant milicji, miał na to notatkę służbową sporządzoną po rozmowie z Kierownikiem Działu Kadr PRCiP-u. Pisze tam, że Zygmunt Tarkowski był obecny w pracy w tamtym czasie. Teraz, funkcjonariusz śledczy MO skoncentrował się na komponowaniu uzupełnienia do protokołu, które po ukończeniu podsunął Zygmuntowi, mówiąc:

- Podpiszcie tu.

On przeczytał i zauważył:

- Tu pisze, że Jurek nie szukał pracy, a on szukał.

- To, dlaczego nie znalazł?

- Wydaje mi się, że on by tę pracę znalazł, gdyby nie to, że został przymknięty. To zdanie trzeba wykreślić, albo napisać, że szukał pracy.

Funkcjonariusz wykreślił zdanie i Zygmunt podpisał podsunięty mu papier.

- To nie jest koniec waszej sprawy, my się tu jeszcze zobaczymy. Na razie, oddaję wam dowód osobisty i

idźcie za mną – powiedział funkcjonariusz.

Wyszli teraz na korytarz, podążając w stronę żelaznej bramy. Gdy Zygmunt usłyszał brzęczenie elektromagnesu, pociągnął klamkę do siebie, przeszedł szybkim krokiem przez hol i opuścił budynek komendy milicji. Nie był prawnikiem, sądził jednak, że w zaistniałej sytuacji, milicja, gdyby chciała, mogła zrobić jakąś sprawę przeciw niemu. W PRL, prokurator mógł domagać się kary prewencyjnej czy jakiejś innej za współudział w układzie kryminalnym. Ewidencja, jaką mieli przeciw Jurkowi, mogła stanowić podstawę do uwięzienia jego, Zygmunta. Znał już podobny przypadek. W końcu, w PRL, ustawy interpretowano tak, jak rządzącym, milicji i sądom pasowało w danym momencie. No a Jurek? Przecież, to on dał im namiar na niego. Zygmunt, przemyślał sprawę jeszcze raz, tym razem głęboko, i uznał, że po co im ten kłopot, zostawią go w spokoju.

- Ta przyjaźń nie była mi potrzebna. W przyszłości muszę się wystrzegać takich kontaktów towarzyskich - medytował.

Gdy wrócił na swoją kwaterę, pani Lucyna oznajmiła mu, że ma dla niego współlokatora, który nazywa się Tomek. Od pierwszego września rozpoczyna naukę w Zasadniczej Szkole Zawodowej przy Gdańskiej Stoczni Budowy Okrętów. Ma 15 lat. Chce wprowadzić się tu pod koniec sierpnia.

- Zgadzam się i dziękuję pani – odpowiedział Zygmunt.

- Do zameldowania, potrzebuję też pana dowód osobisty i książeczkę wojskową.

Podał jej swoje dokumenty. Do identyfikacji, na żądanie milicji, miał teraz czerwoną książeczkę żeglarską, którą nosił przy sobie. Służyła mu też jako przepustka do portu i na stocznię. Po chwili, Pani Lucyna podsunęła mu wypełniony druk meldunkowy do podpisania. Były tam już jej dane. Rok urodzenia 1927, przeczytał.

Rozwagał teraz swoją sytuację materialną. Za mieszkanie będzie płacił 350 na miesiąc od września, za sierpień 700, poradzi sobie. Kupił już pościel i wyprał koce, pod którymi może przespać zimę. Milicja, zdaje się, zostawiła go w spokoju. Starał się nie myśleć o tym, że wnet będzie potrzebował kurtkę, sweter, buty zimowe i ciepłą bieliznę. Nie chciał zatrudniać mamy przy wysyłaniu paczek z jego używaną odzieżą.

Najlepiej niech myśli, że mi się tu wiedzie, zdecydował.

Jego rzeczy z poprzedniej zimy były zresztą podniszczone.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Przemir, dodano 19.08.2018 18:13

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.